Wychodzą we Lwowie we *Wtorek*, *Czwartek* i *Sobotę*. Prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięcznie **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr. — kwartalnie **2** Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie **1** Złr. **20** kr. Bióro expedycyi w księgarni **H. W. Kallenbacha.**

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po **4** kr. za następne po **2** kr.; w dodatku po **3** kr. za następ. po **1½** kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

12. Lutego 1856. № 19. Rok trzeci.

Sierota wielkiego świata.

V.

(Ciąg dalszy).

Pan Alfred przywitał go grzecznie i uprzejmie, a w jego twarzy widział tyle serca i szczerości że ledwo się przed nim z wszystkiego nie wyspowiadał. Przy obiedzie wyglądała Ofelia tak pięknie, jak jej jeszcze nigdy nie widział. Na jej twarzy malowało się tak piękne i szlachetne uczucie, w jej oczach rozpromieniał się taki wyraz zachwycenia, że Gustaw przedsiewziął sobie, dzisiaj stanowczy krok uczynić.

Był on także w dziwnem usposobieniu. Gdy siadł po obiedzie do fortepianu, to sam grą swoją się zachwycił. Tony, o jakich nawet nie myślał, wylatywały mu same z pod palców, i wiązały się w przecudne melodje. Ofelia oparła się o fortepian, i słuchała z uwagą gry jego. W jej oczach czytał Gustaw odpowiedź na tony swoje, a odpowiedź ta była dla niego przyjaźną.

— Niech pan zaspiewa, rzekła Ofelia, bo takiej chwili szkoda. Jesteś pan w natchnieniu.

— Kto mnie natchnął, tego rozkazów słucham.

Ofelia spojrzała po salonie, ale prócz Jadwigi nikogo już nie było. Jadwiga siedziała w kącie na kanapie i jakoś w niedobrym była humorze. Trzymała w ręku żółtą astrę i skubała z niej listki.

— Felciu, przemówiła do Ofelii, już trzeci raz wychodzi mi, że ty mnie nie kochasz!

Wtej chwili uderzył Gustaw w klawisze i zaczął śpiewać:

„*Ty mnie nie kochasz*“...

Głos jego tyle miał uczucia, tak chwytał za serce, że aż Jadwiga z kanapy wstała i czarne oczka z zadziwieniem na Ofelją zwróciła. W twarzy Ofelii malowało się takie rozrzewienie, tyle prośby było w jej oczach ciemno-błękitnych, że Jadwiga, pogroziwszy jej paluszkiem, cicho z salonu się wyniosła. Gustaw widział to w zwierciedle. Teraz nadeszła dla niego chwila stanowcza.

Wstał od fortepianu, a zbliżywszy się do Ofelii, wziął ją za rękę. Ofelia nie broniła mu jej, ale zbladła na chwilę, aby się zaraz tem mocniej zarumienić.

— Rozkaz pani wypełniłem, rzekł Gustaw, cóż mi więcej rozkażesz?

— Czy mam prawo panu rozkazywać? zapytała się Ofelia a wyraz dumy szlachetnej przebiegł po jej czole.

— Jestem pani niewolnikiem!

— Więc rozkazuję panu, abyś nim nie był.

Gustaw cofnął się o krok, bo zdało się mu, że go ktoś śród łaźni zimną wodą oblał. On nie poznał Ofelii. Owa słaba, sentymentalna dziewczyna, stała teraz przed nim z czołem dumnie wzniesionem, w postawie królowej.

— Zadziwia pana mój rozkaz? rzekła po chwili, a przecież poddałeś się pan bezwarunkowo rozkazom moim.

— Myślałem że pani nie nadużyjesz władzy swojej? odpowiedział Gustaw z wyrazem boleści.

— Nie, wcale nie, ja tylko nie chcę, abyś pan tak się poniżał! O wierzaj mi pan, serce nie lubi niewolników, wyjąwszy wtedy, gdy się bawi. A pan przecież zdajesz się być tak dumny...

— Największą dumą dla mnie będzie, posiadać serce pani....

— A wierz pan, co się z tem sercem bierze?.. O w naszych sercach panie Gustawie, cośmy się w tym kraju rodziły, są jeszcze inne, dziedziczne uczucia, prócz uczuć miłości. I tym uczuciom trzeba zadość uczynić, bo bez nich niema dla nas szczęścia na ziemi. Tem się różnimy od innych kobiet tego świata, a to jest naszą dumą! Zawód pański nie zaspokoi tej dumy naszej...

— Zawód mój dopiero co rozpoczynam, a rozpoczynam go w najświetniejszych na przyszłość nadziejach; mam protekcję ludzi wyższego stanowiska, przedemną droga do wysokich zaszczytów...

— Niezrozumiałeś pan mnie; duma moja nie jest błyszczeć śród ludzi, ale w skromnem zaciszu wypełniać obowiązki które są sercom naszym najdroższe.

Gustaw zamyślił się na chwilę, twarz jego posmutniała.

— Żądasz pani, abym się zrzekł najpiękniejszych marzeń moich? Abym zboczył z drogi, na której mi wszystko sprzyja?

— Jeżeli to jest szczęściem pana, na cóż żądasz pan innego, którego z tamtem połączyć nie można? Wszak sam pan powiedziałeś mnie: że mogę być królową serc, co zdala od świata, głębszych pragną uczuć!... Naprzykład, potrzebą mego serca było, aby biednego malarza z intryg ludzkich wyratować, i wynaleźć mu kogoś, coby upadłego na duchu mógł podnieść i nadal być mu pomocą. Czyż mogłam tego od pana zażądać? Pan Adolf wziął to na siebie, a przytem i pana wytłumaczył. Zawód, który sobie obrałeś, może być dla pana szkołą świata i życia, ale nie stanowiskiem, jakiego ja w świecie pragnę. Wybieraj pan między zaszczytami tego świata, a sercem sieroty!... Na teraz jednak zatrzymasz pan wszystko w milczeniu, w stolicy obaczymy się znowu.

Teraz uczuł Gustaw ściśnienie ręki i doznał uczucia, o jakiem dotąd nie miał wyobrażenia. Świat zniknął mu z przed oczu, a jakaś jasność otaczała go. Chciał się rzucić do nóg Ofelii, chciał ją do swego serca przycisnąć, chciał na jej różowe usta pierwszy złożyć pocałunek... ale w oczach Ofelii było tyle nadziemskiego blasku, takiem wyższem uczuciem rozpromieniła się jej twarz blada, tyle było szlachetnej dumy w jej postawie królewskiej, że Gustaw uczuł się jej niegodnym, i tylko w pokorze cześć jej oddał jako bóstwu swemu.

Gdy się to w salonie działo, weszła Jadwiga do budoaru hrabiny i usiadła na szeslongu. Pan Alfred czytał jakąś korespondencją, hrabina siedziała zadumana.

Jadwiga wzięła książkę do ręki, lecz jeszcze prędzej ją rzuciła. Zaczęła przeglądać żurnale, lecz za chwilę leżały wszystkie na ziemi. Ulubionego Amorka strąciła z szeslongu aż sobie nos rozbił, i mocno zaskowyczał. Do tego robiła tak pocieszne minki, na pół żartobliwe a na pół tragiczne, że hrabina mimowoli na nią się wypatrzyła.

— Cóż ci to jest Jadwidziu, zapytała, czyś nie słaba? dla czegoś taka niespokojna?

— Jakże można być spokojną mameczko, jeśli się wie o czemsić, co tak... niby gniewa... a niby... już to mamcia niech sama zrozumie, bo ja, dalibóg nie umiem tego wypowiedzieć!

— Cóż takiego? zawołał pan Alfred.

— Nic, nic tak szczególnego, odpowiedziała Jadwiga, uśmiechając się figlarnie, nie kradną, nie rozbijają, a reszta tatka nie interesuje. Bo cóż to może tatka interesować, że w tej chwili w salonie porucznik Ofelii się oświadcza?

Pan Alfred rzucił list na posadzkę i wyszedł spiesznie. Wszedł do salonu właśnie wtej chwili, gdy Gustaw trzymając rękę Ofelii, walczył z uczuciem szlachetnego serca a namiętnością pysznej, światowych oklasków pragnącej duszy!

Ofelia zmieszała się i odeszła do swego pokoju. Gustaw nie wiedząc co z sobą zrobić, wziął jakieś nuty z fortepianu i począł je przyglądać.

Pan Alfred przeszedł się kilka razy po salonie. Był zachmurzony i tak silnie uderzał nogą o parkiety, jakby chciał je roztłuc na miazgę. Wreszcie stanął przed Gustawem.

— Więc pierwszem miejscem pańskiej służby jest nasza stolica? przemówił do niego głosem, który Gustawa jeszcze bardziej zmieszał.

— Tak jest, odpowiedział.

— Jak się nazywa pański przełożony?

— Generał C*.

— A, znam go, to mój przyjaciel. W Wiedniu bywaliśmy razem na wieczorach. Jest to godny człowiek, z charakterem. Niezawodnie będzie umiał ocenić pańskie zdolności, może pana zalecić ministrowi, a karjerę masz pan przed sobą jak najpiękniejszą.

Gustaw zdziwił się nie mało, widząc jak twarz pana Alfreda nagle się rozjaśniła. Pan Alfred stał się nadzwyczaj wesoły i dowcipny, mówił o różnych rzeczach tylko o Ofelii i oświadczeniu ani słowem nie wspominał.

Przy obiedzie rozmawiano z największą grzecznością, bawiono się tak poufale i serdecznie, że Gustaw wreszcie uwierzyć musiał w jak największą całego domu przychylność. Uwierzył, że oświadczenie jego jak najlepiej przyjęto a nawet gniewał się, że Ofelia kazała mu jeszcze zamilczeć. I dla Ofelii byli dzisiaj wszyscy jakoś tak serdeczni, tak się nią zajmowano, że biedna sierota może po raz pierwszy w życiu doznała tego błogiego uczucia, jakiem tylko czułość matki natchnąć może.

Tylko Jadwiga zamyślała się często, w jej czarnych oczkach tlał promyczek jakiejś złośliwej zazdrości, a cień smutku przeleciał nieraz po jej twarzy.

Cztery dni minęło w ten sposób.

Piątego dnia przyniesiono listy z poczty. Pan Alfred wydobył największy z nich, z urzędową pieczęcią i odesłał Gustawowi.

Za chwilę wpadł Gustaw do salonu. Twarz jego była blada i zmieszana. Przeczytał rozkaz przełożonego, który go natychmiast do stolicy powoływał.

Pan Alfred mocno ubolewał, że traci tak miłego gościa a zachowując sobie przyjaźń jego na czas dalszy, podziękował mu serdecznie, za chwile, w jego domu spędzone. Hrabina była do łez rozczulona, i serdecznie uścisnęła rękę porucznika.

Gustaw obejrzał się za Ofelią, ale jej już w salonie nie było. Wyszła na pierwszą wiadomość o wyjeździe Gustawa.

Nie przyszła nawet do śniadania, które jeszcze podano, a gdy się Gustaw z Jadwigą żegnał, pogroziła mu tu figlarnie paluszkiem.

Tom drugi i ostatni.

I.

Była to uroczystość Jordanu. Tłumy pobożnych widzów, w skromniejszej odzieży, stały na rynku stolicy, z odkrytemi głowami, i w pokorze ducha słuchały modłów kapłańskich. Po za niemi utworzył się łańcuch ciekawych, wytworniej ubranych spektatorów, przypatrujących się tak okazałej uroczystości. Zdala od jednych i drugich, na najwyższym punkcie rynku stał czarno ubrany mężczyzna, trzymając w ręku kapelusz. Włos jego czarny pobielał już gęsto, twarz miał bladą i zapadłą, ale oko jego było pełne życia i blasku.

Stał nieruchomy jak posąg, nie oglądał się ani razu, tylko wzrok swój utkwił w grupę kapłanów, odprawiających chrzest wody.

Powoli poczęły się ruszać tłumy różnobarwne, ozwały się pieśni nabożne. Nabożni zeszli się do studni, aby zaczerpnąć święconej wody, ciekawi rozchodzili się do domu, rozmawiając o widokach imponujących. Każdy wyniósł coś z tej uroczystości, jedni posiłek dla duszy i serca, drudzy wspomnienie okazałego widowiska.

Cóż wyniósł mężczyzna ze sobą w czarnem ubraniu?

Szedł z spuszczoną głową, ręce w tył założył. Twarz pobladła mu jeszcze mocniej, ale oko błyszczało jaśniej.

Na ulicy dominikańskiej zdybał kilku znajomych, którzy uprzejmie go pozdrowili, ale on tylko lekko głowę skłonił, Wreszcie stanął u celu.

Była to mała, jednopiątrowa kamieniczka, której okna na szkarpy wychodziły. Krzywe, nie bardzo wygodne schody prowadziły na piątro, składające się z dwóch pokoików. Na drzwiach jednego z tych pokoi była czarna blaszka z błękitnym napisem: *Jasiński, malarz.*

Musiał nim być sam nasz znajomy z uroczystości Jordanu, bo dobywszy klucza drzwi otworzył.

Pierwszy pokoik służył gospodarzowi za sypialnią. W kącie między oknem a piecem stało łóżko ciemnego koloru, zaścielone kołdrą wełnianą. Koło łóżka stał mały stoliczek, na nim świeca z umbrelką i leżało kilka otworzonych książek. Po drugiej stronie była szafka na suknie. Kilka krzeseł uzupełniało cały komfont artysty. Ale artysta nie żył tutaj, nie była to atmosfera dla niego. Tutaj odpoczywał tylko, gdy mu zabrakło sił do życia artystycznego, gdy ciało jego upadało z podniebnych wycieczek, jak upada skowronek po skończonym śpiewie. Żył on w atmosferze drugiego pokoiku. Cóż tam za inne życie!

Na ścianach wisiały duże olejne obrazy, widoki i kartony, naszkicowane pobieżnie czarną kredą. Przy samem oknie zajął miejsce rubasznej nieco postaci Stefan Batory, z berłem w ręku, w czerwonej jakiejś delii. Tuż za nim z ręką naprzód wyciągniętą, jakoby nią chciał gromić niewiernych, stanął Jan III, i uśmiechał się dobrodusznie do patrzącego nań pokolenia. Dalej była piękna głowa kobiety, o czarnych przenikliwych oczach, a nad nią rozpięty był karton, wyobrażający młodą kobietę z ciemnobłękitnem okiem, w stroju włoskim. Tu znowu widok gór naszych, tu coś z Szwajcarji, tam niebo, które tylko nad Alpami widzieć można, tu znowu kapliczka błogosławionego Jana z Dukli i pyszny aż pod góry węgierskie sięgający widok ziemi naszej. Kilka męskich portretów wisiało po drugiej stronie.

Toż nie zatrzymał się gospodarz w pierwszym pokoiku, ale prędko wszedł do drugiego. Postawił świeży blejtram na stelaży i wziął do ręki ołówek. Rysował, mazał i znowu rysował, patrzał z bliska i odchodził aż do drzwi aby widzieć jak się z daleka wydaje. W końcu wziął duże zwierciadło, postawił je naprzeciw rysunku i począł się w nie wpatrywać. Nareszcie chwycił za paletę i pędzle i z twarzą promieniejącą zasiadł do malowania.

Zajęty pracą, nie zważał wiele, że już w pokoiku znacznie pociemniało, a nawet nie słyszał, że ktoś wszedł i za nim stanął. Byłto młody, przystojny mężczyzna, z uprzejmym wyrazem na twarzy. Stał cicho za plecami malarza i śledził natężonem okiem każdy ruch jego pędzla. Na twarzy jego malowało się coraz większe zachwycenie, kilka razy otworzył usta, aby wydać okrzyk podziwienia, lecz nie uczynił tego, aby artysty z jego natchnienia nie zbudzić.

Malarz spojrzał boleśnie w okno, przez które już zmrok wieczorny zimowego dnia zaglądał, i zdawało się że chciał jak ów wódz Izraelu, wzrokiem swoim słońce na niebie powstrzymać. Ale w tej chwili wysunęła się z poza góry zamkowej brzydka, śnieżna chmura, i zaciemniła cały horyzont. Malarz westchnął a obejrzawszy się, ujrzał stojącego za sobą gościa.

— Adolfie, kochany Adolfie, zawołał ściskając go za rękę, tyś siłą swojej szlachetnej woli tak wiele uczynił, ja wierzę w ciebie, jak w cudotwórcę,... czy nie mógłbyś mnie stworzyć światła?... światła na jednę, dwie godzin, bo tyle potrzeba mi jeszcze do mego zupełnego szczęścia!... Ach ty wiesz Adolfie, co to znaczy, gdy coś w duszy, w sercu kipi, a nie można tego dopowiedzieć, nie można wylać tego ukropu, co nam życie pożera, co nas pali... a odkładając dzieło na jutro, nie wiemy, czy nam do wykończenia nie zabraknie życia, jak mnie dzisiaj dwóch godzin zabrakło!

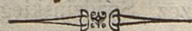
— Uspokoj się Auguście, odpowiedział Adolf! do szlachetnych, dobrych dzieł nikomu życia niezabrakło, byle nie zabrakło chęci i serca!

Rzekłszy to przystąpił bliżej do obrazu i począł się w niego z uwagą wpatrywać. Malarz stanął na boku i śledził jego wrażenia.

Patrząc na malarza i jego przyjaciela nie uwierzyliby czytelnicy, że się patrzą na dawnych znajomych z naszej powieści. Adolf się wprawdzie nie zmienił, tylko nieco spoważniał, jakto bywa za zwyczaj po zajęciu jakiegoś wyższego stanowiska. Ale biedny nasz malarz to wcale nie do poznania. Nietylko że odzyskał rozum i dawną swoją chęć pracy i zamiłowanie do sztuki, ale jak widać stracił wiele dawnych przywar, które go w obec społeczeństwa ludzkiego obrzuciły błotem i wzgardą. Był skromnie lecz czysto i przyzwoicie ubrany, w pomieszkaniu jego widać porządek i czystość, a niektóre drobne wygódki okazywały, że gospodarzowi z postępem chęci do pracy, przybywa i zamiłowania do życia a nawet do skromnego komfortu. Na twarzy prócz wąsów był gładko ogolony, z pod szyi, obwiązanej czarną atłasową chustką, wyglądał kołnierz białej koszuli. Jego maniery były tak swobodne i estetyczne, jak gdyby nigdy nie walał się w błocie życia ludzkiego, które ciało i duszę do potworu oszpeca. Nawet wyraz jego twarzy złagodniał i wyszlachetniał; tylko w formujących się zmarszczkuch koło oczu pozostały ślad dawnej cierpkości i zatartej ironii w zapatrywaniu się na świat. Był to zupełnie nowy, odrodzony człowiek, a odrodzić mogło go tylko kilka iskier pozostałych w spopielonem jego sercu, które Adolf wynalazł i je w płomień nowego życia rozdmuchał. Wszystko dawne, co przetlało i spopielało, odpadło jak skorupa od zagojonych ran jego, i nic tam nie zostało prócz kilku wspomnień, które i poza grób się bierze, i kilka cierni, co w sercu zarosły. Nawet imię jego gdzieś przebrzmiało, a dzisiaj nikt go po niem nazwać nie umiał!

A wszystko to było dziełem Adolfa.

C. d. n.



Zwyczajnie.

— „Nie kocha ciebie!“ tak do niej mówili,
„Bawi się tylko.“ Biedna główkę chyli,
Łza się jej perli i po licu bieży,
Rosa po róży. Ach czemuż im wierzy!
A on gdy przyszedł, i ujrzał zachwianą,
Uporem idzie, i z smutkiem się łamie,
Śpiewa i tańczy, i wesołość kłamie,
A noc przepłakał i przepłakał rano.

— „On ci jest wierny, on cię kocha jeszcze!„
Nieraz do serca Anioł-stróż jej wionie,
I nieraz jemu błysną myśli wieszcze,
Że jego obraz niestarty w jej łonie!
— „Jedno jej słowo w zaufaniu powiem,
A zniknął chmury!“ I widzą się w świecie,
A tego słowa nie niewyrzekną przecie,
Dumni a biedni! błądzą z sercem wdowiem.

Jak przed ołtarzem światło lampy kona,
Najprzód pobladnie, potem spłonie jasno
Raz jeszcze jeden, i zorza czerwona
Mignie przez kościół, nim światła zagasną;
Tak i w ich sercach kona miłość zwolna:
Najpierw płakali a potem tęsknili,
A potem nawet i nie pomną chwili,
Kiedy w ich sercach była skłonność wspólna.

Tylko czasami, gdy księżyc na niebie,
Zerwą się nagle, a mokre węzgłowie,
I od łez mokre oblicze im powie,
Co im się śniło. I znów wspomną siebie
I swoję miłość, i z sercem bijącem
Widzą jak zwątpień mgła w górę ulata,
Lecz już zapóźno, nie przełamać świata;
Ach Boże przebacz dwom sercom błądzącym!

M...a

J. J. Kraszewski, o zapisie

Ś. p. Konstantego Świdzińskiego.

Kilkanaście lat już upływa od czasu, jakem miał przyjemność poznać osobiście, na kontraktach kijowskich, głośnego już ze swego poświęcenia zbieraniu troskliwemu pamiątek krajowych, ś. p. Konstantego Świdzińskiego. Kilka tych tygodni, spędzonych w jego, dziś zmarłego metropolity ś. p. ks. Hołowińskiego, M. Grabowskiego, Hr. Gustawa Olizara, Konst. Podwysockiego i t. d. towarzystwie, liczę do najprzyjemniejszych wspomnień mojego życia. Marzyliśmy wówczas o wielkich dla literatury naszej, szczęśliwie zdającej się w prowincjach tych rozwijać nadziejach; każdy coś miał w tece, czemś był zajęty, pracował, krzątał się i cegiełkę przynosił do budowy. Hr. Henryk Rzewuski czytał pierwsze rozdziały L i s t o p a d a, za chłodno wówczas przyjęte przez Świdzińskiego i Grabowskiego, które później tyle pochwał zasłużonych zyskały; Hr. Olizar pamiętniki swoje; ks. Hołowiński L e g e n d y i P o d r ó ż e; Grabowski zdaje mi się wyjątki ze Starosty Kaniowskiego; ja M i n d o w s a. To gronko ludzi zabierających się szczerze do pracy, schodziło się na przemiany w mieszkaniu ks. Hołowińskiego, gdzie i ja, przez niego przyjęty gościnnie na obczyźnie, stałem, u p. K. Świdzińskiego, Germ. Hołowińskiego, państwa Szymanowskich, Modzelewskich, autora Podstolica Massalskiego, w księgarni T. Glücksberga; kilkanaście dni upłynęło nam jak chwila, i co do mnie, pamiętam, żem z żalem Kijów opuszczał.

Nie wiele lat temu, a ile zmian zaszło i spełzło nadziei! Ks. Hołowiński spoczął w Bogu, Świdziński poszedł za nim do wieczności, inni rozprzęgli się, rozpierzchnęli, zamilkli, ustali lub dożywają ostatków.

Smutna kolej rzeczy ludzkich, ta znikomość wszystkiego, to nieustanne kopanie grobów na drodze życia, te napady śmierci, która nic dokonać nie dozwala. Człowiek im dłużej żyje, tem więcej czuje, że mu nic nie zastąpi utraconych ludzi, złudzeń i pogrzebanych chwil pielgrzymki. W młodości nie tyle się doznaje tęsknego uczucia na widok strat, które żywość własnych wrażeń zasłania; później każdy grobowiec jest szczeblem drabiny, wiodącej i nas do drzwi mogilnych, mających się za nami zamknąć na wieki!

Niewiele znałem zgasłego świeżo w Kijowie, w d. 29. listopada 1855 roku Konstantego Świdzińskiego, którego śmierć tak była piękną i tyle obudziła żalu w tych nawet, co osobiście zbliżyć się do niego nie mieli sposobności. Wszakże w ciągu tych lat widywałem go czasami, spędziliśmy razem dni kilka niejednokrotnie i dość było tych chwil by go ocenić. Rzadkiej to był wytrwałości i charakteru człowiek, poświęcenia bezprzykładnego, gdyby nie przypomnienie Załuskich, z któremi jedynie porównać się może. Zawczasu zrobił sobie zadanie życia i spełnił je do ostatniej chwili, z gorliwością, z zapałem młodzieńczym. Tem zadaniem było zgromadzenie w jedno wszelkich pamiątek, tyczących się przeszłości Polski, rękopismów, ksiąg, obrazów, sprzętów, dzieł sztuki, monet i t. p. Muzeum Świdzińskiego, na które w ciągu życia do dwóch miljonów złotych wydał, nie ma sobie równego, i dowodzi, co może wola ludzka dobrze pokierowana, kiedy nią serce poczciwe i głowa ukształcona rządzi.

Świdziński poświęciwszy się zbieraniu, nie ustał na chwilę do zgonu samego; oszczędny dla siebie aż do przesady często, odejmował sobie, by grosz jaki tylko miał, kupnu drogich dlań zabytków poświęcić. Nie było biblioteki którejby nie przewartował, zapylonego szpichlerza, do któregoby się po jaki złomek nie dostał. Wspierał artystów, wydawał ryciny, kazał przepisywać rękopisma, książki rzadsze po kartce niemal kampletował, ściągał medale i monety, obrazy i rysunki, zbroje, sprzęty, aż do najdrobniejszych pamiąteczek.

Można sobie wystawić, jakiego mozołu i kosztów wymagało spełnienie planu, na tak szeroką zakreślonego skalę; przechodziło to niemal siły jednego człowieka, ale Świdziński nie zraził się olbrzymim zakresem i dokonał rzeczy nadzwyczajnych. Widziałem katalogi jego ksiąg, rękopismów, medali, rycin i bogactwu tej kollekcji wydziwić się nie mogłem. Ale też człowiek ten, niedość że pieniądze sypał, jeździł jeszcze, chodził, dokuczał, w potrzebie kłócił

się, napierał, zabierał, nocy nie dosypiał, spisywał, porównywał, i szedł do celu z niedorównaną wytrwałością. Kto inny zraziłby się stokrotnie, gdyby mu, jak Świdzińskiemu, przychodziło co krok najboleśniejsze ponosić straty, doświadczać szkód od ognia (w pożarze Krakowa), niedozoru tych, którym za granicą powierzał skarby swoje, kradzieży, zamian i t. p. Swidziński, niesłychanie prawego charakteru człowiek, oburzał się tylko na niegodziwości namiętnie, gwałtownie wołał i powtarzał: „Jak to może być!“ niepojmując nieuczciwości zarazem jak niedbalstwa w świętej sprawie; ale raz przekonawszy się, że strata była niepowrotną, z nowym zapałem starał się ją wynagrodzić.

Do czego się jął tylko, wszystko robił gorąco, dobywał się do dna, starał wykonać sumiennie. Sam uczciwy i regularny, nieustannie zrażał się najmniejszemi w stosunkach z ludźmi niesłownościami lub lekce-ważeniem, ale przegniewawszy, szedł dalej znowu z pełnem zaufaniem, posunionem często do zbytku, zawierzając każdemu. Zaiste był to jeden z tych ludzi fenomenalnych, jacy się rzadko wyrabiają i rodzą. Obok żywości młodej, zachowanej do końca, wytrwałość niezmożona, cierpliwość niezrównana, wzniosłość uczuć wielka, religijne przekonanie głębokie; w stosunkach z ludźmi często szorstkość, ale zawsze najwyższa prawość.

Zajęty bibliografią, regestrowaniem, notatkami, których stosy zostawić musiał, nie utracił w tem zajęciu tej poezji duszy, z jaką umierający już prosił, by mu śpiewano pieśni pobożne, przemawiał do krewnych, przyjaciół i tych, co go otaczali. Zgon jego, gaśnienie powolne, było jedno z najpiękniejszych śmierci, o jakich się w tych czasach uslyszeć nam zdarzyło. W innym rodzaju równie piękną była śmierć ks. Eustachego Sanguszki, która jest całym dramatem, tak jak Świdzińskiego zgon—poema.

Starzał powoli, ale silny był jeszcze, gdy nagła słabość gwałtowna pierwszy raz wstrzęsła tym niezużytym i potężnym organizmem, ożywionym duszą wielką. Bolesną mu być musiała konieczność oswojenia się z ideą śmierci, w chwili gdy jeszcze tyle miał do wykonania; ale zawczasu pojął, że tyle uczyniwszy, pomyśleć musi, by praca żywota całego nie spełzła darmo.

Na parę lat przed chorobą i śmiercią ośmieliłem się go raz zapytać, co czynić myśli i jak rozporządzi zbiorami swojemi? Odpowiedział mi, że zamiar ma przyłączyć je do ordynacji hrabiów Zamojskich, dla zapewnienia im trwałego bytu i użytku publicznego. Myśl ta znać jeszcze była w zarodku i później. Poznanie osobiste młodego hrabiego Wielopolskiego, przywodząc na pamiąć dawne stosunki z hr. Wielopolskim ojcem, zmieniło ją, skłaniając do wcielenia i zbiorów i funduszów swych do ordynacji Myszkowskich-Wielopolskich.

Ostatnie chwile przytomności poświęcił Świdziński urządzeniu tego świętego legatu, tego przekazu w ręce Wielopolskich, daru, który uczynił raczej ogółowi, niż jednej rodzinie. Zamiar ten tkwi i jasno widoczny jest w pokilkakroć robionych testamentach, kodycyllach i liście do tego, któremu skarb swój polecał.

S. p. Konstanty, syn Kajetana, Świdziński, w testamencie swym, naprzód wskazuje majętność jaką posiadał, składającą się: 1. z kapitałów, wynoszących 47.000 rubli srebrnych; 2. ze zbiorów w książkach, t. j. bibliotece, numizmatach, malowidłach, rycinach, rzeźbach, dokumentach, rękopismach i innych rzadkościach bibliograficznych i archeologicznych, regestrami objętych, a znajdujących się już to w Brusiłowie, już przy nim w Sulgostowie, jako też w ręku sukcesorów pani Edwardowej Raczyńskiej, w Krakowskiem, u p. Łukaszewicza i innych, które ocenił nazbyt skromnie, na trzydzieści tysięcy rubli, gdy w istocie dodanie zera do tej sumy, jeszcze by wartości nie przeniosło tej kollekcji; 3. z majętności w Radomskiem, Sulgostowskiego klucza, nabytego przez spłatę długów na nim ciążących, i ruchomości na 2,200 rubli cenionej ..w ogóle więc fortunę Swidzińskiego na sto dwadzieścia cztery tysiące rubli obliczono w testamencie, ale wskazaliśmy jak najszacowniejszy zbiór nadzwyczaj nisko został porachowany. Wyjąwszy legata familijne, które tu do nas nie należą i które pominiemy, ś. p. Swidziński o sługach, przyjaciołach i tych co go otaczali niezopomniał, każdemu jakiś po sobie zostawując podarek. Pozostały od wypłaty legatów kapitał, bibliotekę, zbiory, majętność, ostatnią swą wolą przekazał i darował Alexandrowi, synowi Józefa, margrabiemu Myszkowskiemu, hrabiemu Wielopolskiemu i potomkom jego.

Życzeniem jednak ś. p. Świdzińskiego było wyraźnem, aby ten dar, w szlachetne złożony ręce, był tylko w nich niejako dozorowi i opiece jego powierzonem dobrem powszechnem. Żądał bowiem, aby Margrabia albo zbudował, lub kupił dom w Warszawie i w nim na użytek publiczny umieścił zbiory Swidzińskiego, przy nich utrzymywał bibliotekarza, dozorców, starając się o powiększenie kollekcji, wydawanie rękopismów i t. p. Wyraził i to życzenie, aby biblioteka i zbiory nigdy alienowane i rozproszone nie były, ale przechodziły wraz z ordynacją do następców, w niepodzielnej całości. Naznaczył dożywotnio bibliotekarzem p. Edwarda Nowakowskiego, a do uczestnictwa w zarządzie i lustrowania biblioteki hr. Alex. Przezdzieckiego i Jul. Bartoszewicza. Egzekutorami testamentu wyznaczeni zostali: Hr. Władysław Małachowski i Hr. Alex. Przezdziecki; w Cesarstwie zaś Erazm Michałowski i Edward Rulikowski.

Lecz najlepiej objaśni myśl ostatnią zmarłego naszego badacza list jego, którym na pismo Margrabiego Myszkowskiego, w ostatnich już chwilach życia, odpowiedział. Ten cały tu przywieść czujemy się obowiązani.

„List twój z daty 20go listopada otrzymałem, orzeżwił on mnie w chorobie i wielce uradował. Kazałem, jakeś tego żądał odemnie, wedle twej myśli ułożyć trzeci punkt testamentu mego i dodałem tylko idąc za serca popędem i dobrem Muzeum mojego, jeden tylko małoznaczny zapis.

Z testamentu mojego widzisz, że wszystko co mi jest najdroższem, w czemem dla siebie szukał zasługi przed Bogiem i ludźmi, czemum poświęcił cały mój dostatek, zdolności i życie, w twe ręce i straże oddaję. Szczęśliwy jestem, żem cię znalazł na ziemi. Gdy mnie Bóg

wezwie ku sobie, z błogim spokojem zejdę z tego świata, bo przekonany jestem, że owoc życia mojego na ziemi, Muzeum moje, które twej straży poruczam, nie zmarnieje pod twą opieką, bo mocno ufam, że poszanujesz tę pracę moją, urządzisz ją i zawarujesz tak, iżby przy imieniu rodu twojego przetrwała nietykalna i nierozproszona w potomne wieki, dla dobra ziomków; bo całem sercem czuję, że niedopuścisz, aby pamięć, zasługa i praca całego życia mojego, bezowocnie zgasnąć kiedy wśród ziomków naszych miała. D. n.

Dzieje cesarstwa przez Thiersa.

Tom dwunasty tego dzieła, który świeżo wyszedł z druku, doprowadza dzieje pierwszego cesarstwa francuskiego aż do r. 1811, a zatem do przedostatnich już chwil tej ogromnej epoki, której ostateczne rozwiązanie na długi bardzo czas wpłynąć miało na losy całej Europy. Zaprawdę, jeżeli wszelkie dzieje świata zawierają wielką naukę moralną, żadna pewnie epoka niebyła więcej nauczająca od tej. Z niej to wystąpiła jasna jak słońce tą wielka prawda, że największy jenjusz ma przecie swoje granice, i że żadna siła ludzka nie zdoła opatrzności zuchwałe stawiać czoło, ani też przełamać niezwalczonej władzy, jaka wypływa ze zwykłego biegu rzeczy ludzkich. Rzućmy okiem na ten rok 1810 który nam pan Thiers w tym tomie maluje tak jasno, ostro i dobitnie. Napoleon jest na szczycie swojej władzy; żołnierze jego stoją w Gdańsku, który nazwisko swoje dać musi jednemu z marszałków Napoleońskich. W tymże samym czasie wysyła on zastępy swoje do Kadyxu i ku Lizbonie.

Cała Europa wygląda jakby zbiór starodawnych monarchji fendalnych, hołdujących w lenniczym stosunku cesarzowi francuzów. Z Berlina wypadł grom na Anglją wymierzony, zamykający całą Europę przed nią. Rzym stał się francuzkiem miastem departamentowem, i oczekuje z pokorą chwili, w której będzie mógł nazwiska swego użyczyć pierworodnemu cesarza synowi. Papież jest w Sawonji uwięziony, podczas gdy w tej najolbrzymiejszym pojęciom przystępnej głowie, wyrabia się ta myśl, by rzymskiego papieża przenieść do Paryża, i ze stolicy państwa francuskiego zrobić stolicę świata chrześciańskiego: w tym nawet celu nakazał nowe stawiać pałace w Awinionie.

Zdaje się prawdziwie że to sen! powiada Thiers, gdy zaczną opowiadać o tych wszystkich wydarzeniach, tak do wiary niepodobnych, a przecież to wszystko się działo, i żyjący w owym czasie przyzwyczajeni byli w najniepodobniejsze wierzyć rzeczy. Napoleon zdawał się mieć jedyny w swojem czasie przywilej odważania się na wszystko; miał on za sobą szczególny urok wszechwładzy, której dotąd nic się jeszcze nie sprzeciwiło. Ale za to miał naprzeciw siebie ów zwykły tryb wszystkiego co jest ludzkiem, tego powolnie postępującego, ale najniebezpieczniejszego w polityce nieprzyjaciela. Trzy wielkie zdarzenia wysuwa p. Thiers naprzód w tym tomie jako najważniejsze fakta. Są niemi: zamknięcie kontynentu, uwięzienie papieża, i hiszpańska wojna.

Napoleon wyczarował nieograniczone bogactwo środków do walki z Anglją, swoim największym nieprzyjacielem, równie niewyczerpany w finansowym jak i w wojskowym względzie. Na przeciw Anglji, która Francją wyłączyć chciała od wszelkiego udziału w handlu i władzy morskiej, był on nawet w prawie swojem. A przecie ten konieczny niemal kierunek jego usiłowań napędzał go do najniesprawiedliwszych czynności, w czem przyznać trzeba i Anglja sowicie mu się odwetowywała. Najwięcej cierpiały na tem mocarstwa wciśnione w środek tej walki olbrzymiej, w której przepadała ich niepodległość. Co się tyczy papieża, z materialnego stanowiska, nic nie przeszkadzało Napoleonowi przenieść głowę kościoła do Awinionu lub gdziekolwiek indziej, ale stała mu na zawadzie bierna siła moralna, której we Francji nawet zupełnie przełamać nie mógł.

Tak samo stały rzeczy w Hiszpanji i Portugalji. I tam jak gdzie indziej walczyli dzielni żołnierze pod dowództwem zdolnych jenerałów jakiemi byli Massena, Ney, Soult i t. d. ale ginęli darmo, goniąc za celem niepodobnym do osiągnienia. Zdala od jenialnego mistrza swego, który sam tylko umiał utrzymać jedność i energją w działaniu, niewolniki martwego słowa, które im przynosili gońce z Paryża, o tyle tylko czuli się niepodległymi, o ile się oddawali wzajemnym intrygom plotkom i namiętnościom, przez co nieraz główny cel zabaczyli. Wyprawę portugalską przedstawia Thiers doskonale, jak cała mimo żywotności, wlanej w nią przez Napoleona rozbiła się o obwarowane w Torres-Vedras zastępy, które założył, pilnował i bronił Wellington, któremu nie zawadzały żadne współzawodnicze zabiegi. Nie jenjusz Wellingtona przeważył jenjusz Napoleona, ale on sam szczęściem zaślepiony, uniósł się za daleko. W Hiszpanji i w Niemczech chciał przełamać ducha ludowego, jak w Rossji przezwyciężyć siłę żywiołów. Daremne usiłowanie! I rozbudzone siły narodów i żywiołów, padły na niego ciężkiem brzemieniem, i zgniotły go. To jest ten wielki dramat, który nam przed oczy przesuwa scena po scenie utalentowany dziejopisarz cesarstwa mistrzowskiem piórem swojem, i już w tym tomie jakby złowrogie przyszłości przeczucie wskazuje wznoszące się mgły, z których wkrótce wypadnie grom zabójczy.

Rozmaitość.

* Okrzyczano egoizm dziewiętnastego wieku, lecz w żadnym może czasie nie wykwitł duch prawdziwego humanizmu tak wzniosłemi przykładami nieograniczonego poświęcenia i tylą już nie tylko dobroczynnych, ale w sam rdzeń dobrze pojętego chrześcianizmu trafiających zakładów. I dziwna rzecz, że przodkuje w tym względzie Anglia, tak osławiona z utylitarnego swego ducha i materjalno-kupieckich dążności. Nad wyleczeniem obłąkanych n. p. pracują w tym kraju, i w kolonizowanej przezeń Ameryce z taką wytrwałością, z takiem oględnem, razem i bezinteresownem poświęceniem, że w obec tych zakładów nikną prawie domy obłąkanych, istniejące w reszcie Europy.

Mała, zamknięta w swych górach Szwajcarja, zajmuje również chlubne w tej mierze stanowisko. I tak mnisi na górze św. Bernarda ratują zabłąkanych w śniegowych zaspach wędrowców, a staraniem doktora Guggenbühl stanął niedawnemi czasy instytut, przejmujący mimowolnem uwielbieniem każde serce, co bije jeszcze dla cierpiącego społeczeństwa. Jestto urządzony na wielką stopę zakład wychowawczy ludzi, a raczej podobnych do ludzi istot, nazwanych kretynami. Kretyn, to stworzenie napiętnowane najokropniejszą klątwą, a kretynizm, to najdotkliwsza plaga czarujących owych szwajcarskich okolic. Zdarzy się spotkać tę chorobę i w innych stronach, lecz alpejskie stoki najwięcej są nią dotknięte. Jesto nietylko błędny umysłowy organizm, ale zupełne wyrodzenie się człowieka w potworną jakąś istotę. Kretyn ma głowę nieproporcjonalną, obwisłą i stożkowatą, czaszkę wklęsłą, wargi obrzękłe, nos murzyński, skórę zmarszczoną, żółtawą lub ciemną. Zmysły jego są słabe, czasem zupełnie przytępione; żadnych niema uczuć, żadnych pojęć, a brak zupełny instynktu nawet, stawia go niżej od bydlęcia. Kretyn w takim stopniu nie umie ani jeść, ani chodzić, ani mówić, wydaje tylko niezrozumiałe głosy i ryki zwierzęce, nie ma siły pomódz sobie w żadnym wypadku, lub potrzebie, ani się ruszyć, ani oczyścić. Dla takichto tworów istnieje instytut Guggenbühla. Całe swoje życie poświęcił ten przyjaciel człowieczeństwa wychowaniu upośledzonych tych istot, i obdarzeniu społeczeństwa pożytecznymi członkami. Stara się naprzód rozbudzić siły fizyczne Kretynów, przeznaczając każdemu mały ogródek do własnoręcznej uprawy. Kierując pracą dzieci, przyzwyczaja je nauczyciel do rozpoznawania i spamiętywania barw i woni kwiatowych i pojmowania wpływu, jaki wywiera na nie słońce, powietrze i wilgoć. Pomagają wiele w tem odrodzeniu się organizmu kąpiele w różnych ziołach, gimnastyka, elektryczność i t. p. Powoli budzą się zmysły, a umiejętnie kierowane wpływy, potrącają za pomocą kolorów, narzędzi muzycznych i t. p. wrażeń, uśpio-

ne pierwej władze dostrzegania. Tu ledwie połowa pracy, bo nauczyciel musi się uzbroić anielską prawdziwie cierpliwością i wrodzoną zręczność wzbogacić ogromnem doświadczeniem, aby z tych pierwszych wrażeń, z elementarnych tych postrzeżeń wysnuć pojęcia, myśli, uczucia moralne, i wskrzesić wreszcie mowę.

Instytut ten najpiękniejsze przynosi owoce; jednych robi zdolnymi choć do pracy ręcznej, w drugich uda mu się trafić niespodzianie na obiecujące nawet zdolności. Jeden z Kretynów okazuje wcale niepospolity talent do rysunków, inny wyszedł na zdatnego i powszechnie poważanego lekarza. Takim to ludziom należałyby się pomniki lecz mylę się... dla takiego ducha ofiary nie wystarczą marmury!

* **Mięso i chleb w Paryżu.** Jeżeli się nie mylę, zajmie niektóre wasze czytelniczki nie mniej jak najnowsze mody, wiadomość o cenach i sposobie przedawania tych głównych artykułów w Paryżu.

Dla objaśnienia przedewszystkiem nadmienić mi wypada, iż od Września przeszłego roku ustanawia się co dwa tygodnie w Paryżu po ścisłem obliczeniu cena na chleb i mięso, i że ta cena którą tu podaję, a która na bieżące półmiesiąca ustanowioną została, znacznie jest wyższą od cen w miesiącach poprzedzających.

Choć i u nas ceny czyli taksy na chleb i mięso z urzędu ustanowione bywają, wiadomo jednakże jak często jedne bułki są większe a drugie mniejsze, i jak często rzeźnicy zamiast mięsa kości naważyć umieją. Aby temu nadużyciu zapobiedz nakazano w Paryżu sprzedawać samo mięso bez kości a chleb czy bułkę zawsze na wagę. Ustawy te wydają się tem słuszniejsze, i tem godniejsze naśladowania, kiedy przyznać należy, jak trudno jest u nas rzeźnikowi i piekarzowi przy dobrej nawet woli, zastosować się ściśle do prawa. Prawo bowiem pozwala rzeźnikowi dołączyć do wagi mięsa trzecią część kości, piekarzowi zaś nakazuje upiec pewnej wagi bułkę. Przeprowadzenie tak tego, jak owego z całą należytą ściśłością, przy pośpiechu, z jakim tak jedno jak drugie się odbywa, zdaje mi się niepodobieństwem. Jeżeli zaś wypowiedziano iż rzeźnik tylko samo mięso na sprzedaż przysposobione mieć powinnien, a piekarz na żądanie kupującego mniejszy lub większy kawałek odkroić i odważyć powinien, wtedy niemasz ani oszukających, ani też oszukiwanych.

Pominąć tu niemogę jeszcze tej uwagi iż rachunek i waga dziesiętna niezmiernie się przyczyniają tak do podziałów jakoteż do obliczeń najmniejszych ilości z największą ścisłością i łatwością. Byłoby przeto bardzo pożądaną rzeczą, gdyby przy nastąpić mającej zmianie miar i wag w Galicji, mógł być zaprowadzony system dziesiętny. Wiadomo iż zmiany podobne na liczne wystawione są trudności, lecz kiedy zmiana już jest postanowioną, należałoby zanieść prośbę do wysokiego rządu, aby ta zmiana była odpowiedną potrzebom krajowym i zresztą taką, do jakiej wszędzie zmierzają, i która nie wątpliwie w niezbyt odległej przyszłości wszędzie się upowszechni.

Jeszcze jest jedno ważne zastrzeżenie w ustawie paryskiej, oznaczającej taksy chleba i mięsa, nakazujące sortowanie. Jak do każdego kawałka mięsa tak też do każdego bochenka chleba wystawionego na sprzedaż przypięta musi być karteczka, wyrażająca do której katogorji prawem przepisanej każden kawałek należy, a tem samej jakiej podlega taksie a wedle wagi cenie. Obowiązkiem osobnych dozorców jest dopilnowanie należytego sortowania i pociągania przestępców zasłużonej karze.

Sortowanie mięsa odbywa się najprzód wedle tego czy pochodzi z wołu? czy z krowy lub byka; czy z cielęcia? czy z skopu lub owcy? następnie zaś wedle części ciała zwierzęcego. W tym celu powykreślano pewne zarysy na obrazie przedstawiającym te zwierzęta i wyrzeczono do której kategorji jaka część należeć ma. Czy i w tej mierze ustawa ta jest tak dzskonałą jak w innych, powiedzieć nie mogę, bo wiem iż znalazła przeciwników. Nie mogąc podać obrazu tak pokategoryzowanego zwierzęcia, nie mogę też wyliczyć wszystkich części należących do każdej kategorji, ponieważ wielu wyrazów (oczywiście w języku rzeźniczym tylko zrozumiałych) w słowniku nie znajduję. Gdy jednakże u nas po jednej cenie przedaje się mięso tak wołowe jak krowie i bez względu na część z której ono pochodzi, sądzę iż aby módz porównać ceny paryskie z krajowemi należy brać paryskie w przecięciu z wszystkich kategoryj wynalezione.

Otóż na drugą połowę miesiąca Stycznia ustanowiona taksa w Paryżu wynosi w przecięciu za 1 Kilogram (2 funty 15 łutów) mięsa wołowego czy krowiego 105. centimów czyli około 26 krajcarów m. k. a zatem za funt lwowski $10\frac{1}{2}$ kraj., przyczem o tem zapomnieć nie trzeba, iż za samo mięso bez kości się płaci. i że zapłaciwszy więcej, ma się prawo do lepszego gatunku mięsa, a ubożsi znowu mogą dostać i tańszego.

Taksa wyznaczona na chleb czyli raczej bułkę, ponieważ tu prawie nie znają innego chleba jak pszenny pytlowany, wynosi za kilogram pierwszej jakości 50 centimów czyli 12 i pół kr.. a drugiej jakości 42 centimów czyli 10 i pół kraj. Za funt przeto pięknego białego chleba płaci się w Paryżu 5 kraj. Jeżeli się więc cieszycie iż macie we Lwowie bułki krajcarowe ważące od 3ech do 4ech łutów, to paryskie, jak się pokazuje, są daleko tańsze.

Kończąc zanoszę prośbę do wszystkich, coby z niedowierzaniem głową pokiwali, aby mi wykazali omyłkę w rachunku.

A. Ł.

Nowiny lwowskie

* Ważnem bardzo dla miasta naszego jest nabycie jakie do księgozbioru swego zrobił Wiktor hr. Baworowski, znany z zamiłowania swego w ojczystej literaturze. Wiemy już, jak od dawna stara się on o to, aby zbiór ten coraz ważniejszemi wzbogacać nabytkami, nie szczędząc na to kosztów, co tem jest chwalebniejsze, że jest jeszcze w wieku, w którym tak się chętnie trwonią dostatki na inne, mniej pożyteczne zachcenia. Nabył on teraz świeżo szanowny bardzo zbiór rękopismów Ambrożego Grabowskiego, w którym bogate bardzo są źródła do dziejów polskich, mianowicie co do prawodawstwa archeologii polskiej. Jest także na ukończeniu układ jego o zbiór jeszcze ważniejszy rękopismów Stronczyńskiego, zbiór znany już uczonym naszym z swych rzadkości, prawdziwych białych kruków. Są tam prócz wielu innych rzadkości jak n. p. Kadłubka, Wapowskiego, Długosza, ciekawe bardzo Miscellanea raczej Sylva-rerum przez prywatnych spisywane; nie wyczerpane to źródło nie tylko dla historyków, ale i dla powieściarzy i poetów. Nabycia te zrobią księgozbiór hr. Baworowskiego jednym z najciekawszych zbiorów tego rodzaju w ojczyźnie naszej. Lwów tym sposobem który posiada bogaty księgozbiór Ossolińskich, zbiór rycin Pawlikowskiego i Batowskiego, w którym mieszkają tak znakomici historycy jakiemi są Bielowski, Szajnocha, Batowski, Stadnicki, stanie się najbogatszem, niemal miastem polskiem co do zasobów dawnego piśmiennictwa polskiego. Jakkolwiek cieszymy się z tego, że się te skarby dostały w ręce hr. Wiktora Baworowskiego, który znając się na nich potrafi z nich zrobić dobry użytek, i o ile znamy jego prawe dążności, myśli je kiedyś na publiczny obrócić pożytek, nie możemy jednakże przemilczeć zadziwienia naszego, że taką sposobność opuścił zakład Ossolińskich, którego to było niemal obowiązkiem, i któremu jak się zdaje, nie brakowało funduszów, miarkując po inuych wydatkach jakie łożył na upiększenie gmachu i ogrodu.

* Jutro występuje w teatrze ziomek nasz, fortepianista Łapczyński, w koncercie, w którym odegra koncert Mendelsohna z orkiestrą, Inquietude Dreyschoka, a na zakończenie, Nocturne Chopina i La danse des sorcieres Dreyschocka. Ciekawi bardzo jesteśmy słyszeć młodego artystę, który w tylu już miastach z takiem powodzeniem występował. We czwartek przeszły był on na recepcji u J. O. hr. Namiestnika, i u Tegoż na wieczorze w niedzielę kilka odegrał sztuk na fortepianie.

---

* W sobotę reprezentanci miasta Lwowa podpisali kontrakt na 25 lat z panem Unruh, dyrektorem towarzystwa Continental-Gasbeleuchtungs-Association w Dessau, względem oświetlenia miasta naszego gazem. W roku 1858 ma oświetlenie przyjść do skutku. Miasto płaci za 1000 stóp kubicznych gazu 5 złr. czyli za jeden płomień, wyrównający 6ciu świecom woskowym, za godzinę 1 i pół kr.; Prywatni zaś i zakłady za 1000 stóp kubicznych gazu 6 złr. m. k.

Po przedłużeniu kontraktu na nowych lat 15, to jest po 40stu latach, miasto staje się właścicielem przyrządzeń i gazometru, którego wybudowanie zacznie się w roku bieżącym przy placu targowicy końskiej za Pełtwią. Toż samo towarzystwo zawarło kontrakt jednocześnie z Warszawą.

Przyjechali od dnia 8. do 11. Lutego do Lwowa.

PP. Gruszczyński Frydr. z Husiatyna. Fedorowicz Aloizy z Tarnopola. Hr. Komorowski Ad. z Konotop. Gottleb Wic. z Dołhomościsk. Głogowski Gust. ze Stryja. Onyszkiewicz Rud. z Lisiatycz. Komarnicki Jan z Magierowa. Hr. Dzieduszycki Jan z Siechowa. Starzewski Ign. z Chlebowic. Osiecki Mich. z Brodów. Starzyński Stan. z Derewni. Janiszewski Stan. z Żółkwi. Smarzewski Piotr z Moczyrad. Bielecki Baz. z Wielkopola. Poczowski Jan z Dobrostan. Bietkowski Leon z Wołczyszczowic.

PP. Popiel Ferdyn. z Korkowa. Mysłowski Ant. z Koropca. Jasiński Franc. z Zahajpola. Chłopicki Abd. z Gmiły. Grabowski Aug. ze Stryja. Jedliński Jan ze Sambora. Witosławski Józ. z Nowosiółki. Łodyński Ign. z Pawłowa. Sochocki Anton i Udrycki Adl. z Chorowicza. Milewski Wal. z Podhajczyk. Podlewski Alex. z Dołhego. Ulrichsthal z Janowa.

PP. Wojtkowski Ad. z Pieniak. Zadurowicz Ad. z Czerniowic. Rylski Eust. z Ostrowa. Zaremba Bolesł. z Krakowa, Szlachtowski Fel. ze Złoczowa. Szczepanowski Marc. ze Świrza. Kopczyński Ign. Bobrowski Klem. z Podkamienia. Czerkawski Euzeb. z Tarnopola. Chwalibóg Jan z Lipowic. Herman Ludw. z Jaworowa. Haller Fel. i Bal. Franc, z Tuligłów. Krzyżanowski Józ. z Kamionki. Urbański Rud. z Dobrosina. Gnoiński Alex. z Krasnego. Torosiewicz Maurycy z Ostrowa. Zarzycki Tyt. z Rudnik.

Wyjechali od dnia 8. do 11. Stycznia ze Lwowa.

Dr. Płotnicki do Złoczowa. Dr. Ziembicki do Podhajec. Brzezany Maur. do Koniuszek. Sokołowski Mik. do Buska. Witosławski Józ. do Nowosiółki. Tustanowscy Alex. i Grzeg. do Żółkwi. Januszewski Stan. do Ubinia. Dobrowolski Kaź. do Mokrotyna. Sosnowski Leon do Żółkwi. Kubicki Teod. do Wiszenki. Sękowski Stan. do Jarosławia. Dr. Krzeczunowicz do Krakowa. Hr. Potting do Rzeszowa. Łopuszański Bolesł. do Czyszek. Heydel Stan. do Lubczy.

Dr. Wartarasiewicz do Złoczowa. Hr. Łoś Włod. do Dołżanki. Jobłonowski Józ. do Dołhego. Dr. Czajkowski i hr. Tarnowski Józ. do Bełzca. Łodyński Hier. do Milatyna. Pasławski E. do Przyłbic. Łączyński Józ. do Batiatycz.

PP. Lencewicz Er. do Dublan. Tyniecki Er. do Lisek. Udrycki Adl. do Choronowa. Rubczyński Wład. do Popowic. Nahujowski Jan do Dawidowa. P. Medvey do Krakowa. Hr. Drohojowski Kaźm. do Tomanowic. Petrowicz Fr. do Wysocka. Gutkowski Ferd. do Horysławic, Zawadzki Piotr do Probuzna, Hićkiewicz Wal. do Grzymałowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 11. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$106\frac{1}{4}$	Pożyczka 5%	$83\frac{11}{16}$
Hamburg za 100 tal. banco	$77\frac{3}{8}$	Akcye banku	1025
Londyn za 1 funt szterl.,	10.21	Kolej północna	—
Medyolan za 300 lirów	$106\frac{3}{4}$	Obl. ind.	$77\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków .	$123\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	$104\frac{1}{8}$
Agio duk. ces.	$10\frac{7}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{3}{8}$

Wczorajszy Kurs Lwowski					Gotówką		towarem
Dukat holenderski	złr.	4	kr.	58	złr.	5	kr 3
Dukat cesarski	„	5	„	—	„	5	„ 4
Półimperyał zł. rosyjski	„	8	„	34	„	8	„ 42
Rubel papierowy	„	1	„	35	„	1	„ 36
Rubel srebrny rosyjski	„	1	„	40	„	1	„ 41
Talar pruski	„	1	„	33	„	1	„ 36
Polski kurant i pięciozłotówka	„	1	„	12	„	1	„ 13
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	„	88	„	45	„	89	„ 15
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		75	„	45	„	77	„ —
5 proc. pożyczka narodowa		83	„	30	„	84	„ 30
Śrebro		6	„	45	„	8	„ 15

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**